

PROLOG

18 VI 1882, POSIADŁOŚĆ NIEOPODAL MARSYLII

Ciemność mroku, który zalegał w kątach sporego pokoju, z trudem starały się rozjaśnić drgające płomyki świec. Aksamitne kotary w wysokich oknach zasłaniały noc. Światło migoczących gwiazd było zbyt niepokojące i przygnębiające dla kogoś, kto właśnie zaczynał rozumieć jak kruche i żałośnie krótkie jest życie. Nie tak powinno się odchodzić, z żalem.

Ciężki, mokry kaszel, charczący i obrzydliwie brzmiący rozniósł się echem po pokoju. Nieszczęsna konająca istota, leżała na przesadnie miękkich poduchach ozdobionych misternymi koronkowymi arcydziełami. Staruszka o zapadniętych sinych oczodołach, w których tkwiły kulki zamkniętych oczu, prychnęła śliną w konwulsyjnym dreszczu. Natychmiast czyjaś opiekuńcza dłoń zaopatrzona w jedwabną chusteczkę przetarła delikatnie kreskę ust. Białe pasemka resztek włosów, które wiły się wokół pomarszczonej szyi, zostały odsunięte, żeby nie drażniły ciała i nie przylepiały się potem. Ktoś z czuwającej rodziny przykręcił naftową lampę, by blask za bardzo nie raził oczu. Ktoś zgasił jedną ze świec w kandelabrze. Ciemne kąty pokoju stały się niemal czarne.

Umierająca kobieta z trudem uniosła drżącą rękę, która wyglądem przypominała szkielet obleczony pożółkłym pergaminem, upstrzonym starczymi plamami. Na białym rękawie koszuli delikatnie błysnęły cudowne hafty wyszyte przez mistrza. Staruszka wysunęła pokrzywiony artretyzmem drżący palec, wskazując coś nieokreślonego.

Rodzina uroczyście milczała. Kobieta w średnim wieku pochyliła się nad konającą.

– Babciu? – szepnęła przejmująco, oczekując polecenia, które dzisiaj miało stać się dla niej najważniejszym zadaniem.

Już od prawie tygodnia kilkanaście osób towarzyszyło konającej w jej ostatnich chwilach życia. Ich ukochana matka, babcia i prababcia właśnie żegnała się ze światem w pięknym wieku stu czterech lat. To prawdziwy cud, że potrafiła tak uporczywie trzymać się życia i w fantastycznie naturalny sposób czerpać z niego siłę. Uwielbiana przez rodzinę, teraz odchodziła z powodu choroby płuc i wieku. Lekarze nie dawali jej żadnych szans.

– Mamciu? – chlipnęła do eleganckiej chusteczki starsza kobieta i usiadła na brzegu łoża. Powietrze na chwilę wydeło materiał jej czarnej sukni. – Coś ci podać?

Ciężki kaszel ponownie szarpnął staruszką, na co rodzina dyskretnie odsunęła się, zakrywając chustkami usta. Kościsty, guzowaty palec zadrgał ponownie, wskazując wielkie drzwi sypialni.

– Jeszcze nie przyjechał, ale poślę Stefana, żeby sprawdził. Może są jakieś nowiny – powiedział młody człowiek w surducie i skinął na służącego.

Stojący w gotowości mężczyzna, mający już za sobą szczęśliwe lata młodości, natychmiast wyszedł z sali. Robił to już kilka razy.

W tym momencie usłyszeli stukot końskich kopyt i radosne zawołania służby. Dziewczęta i młodzieńcy podbiegli do okna. Ganek i schody oświetlone były lampami naftowymi, których zamglone światło walczyło z ciemnością nocy.

– Jest! Przyjechał! – zawołała młoda panna w najmodniejszej sukni, oczywiście ciemnej, stosownej do sytuacji.

Zastukała w szybę i pomachała energicznie do kuzyna, ale nawet tego nie zauważył. Od razu ruszył do środka rezydencji. Dziewczyna podbiegła do staruszki i ujęła ją za dłonie.

– Przyjechał, prababciu, przyjechał.

– Zdążył... – wymknęło się komuś z ulgą.

Minutę później drzwi do sypialni otworzyły się i do środka zamaszystym krokiem wszedł młody mężczyzna.

– Jestem! Witajcie wszyscy! Gdzie moja najukochańsza pra, pra, pra, pra, pra, pra, pra, pra?

– zawołał wesoło, o zgrozo, zupełnie jakby nie przyszedł pożegnać się, a przywitać i zabrać kobietę na długą wycieczkę.

Podbiegł do łóża.

– Esti... jestem – szepnął i czule ucałował pomarszczone czoło.

Siateczka zmarszczek wokół oczodołów konającej pogłębiła się w uśmiechu, ale zaraz kaszel ponownie szarpnął staruszką. Co niektórzy wstrzymali oddech, znów chowając się za jedwabnymi chusteczkami. Jedynie nowo przybyły nie odsunął się nawet na centymetr. Odczekał, aż fala kaszlu minie, i nachylił się do pomarszczonego ucha prababki.

– Mogę cię wyleczyć – powiedział tak cicho, że na chwilę zwątpił, czy staruszka w ogóle usłyszała choć słowo.

A jednak spojrzała zaciekawiona spod ciężkich opadających powiek. W pożółkłych białkach oczu zamigotał żwawy blask świecy i zdawać by się mogło, że błysnął w nich również ogień nadziei. Szare wyblakłe tęczy, które kiedyś lśniły błękitem, na sekundę pociemniały.

– Odchodzę... – zaskrzeczała cicho.

– Nigdy nie jest za późno, Esti – szepnął młodzieniec z tajemniczym błyskiem w oczach. – Chcesz spróbować?

– Jasne, że chcę! Co za głupie pytanie – ożywiła się nagle chora.

Chłopak roześmiał się w głos. Pocałował prababkę w czoło.

– I za to cię kocham!

– Vincent! O czym wy rozmawiacie? – zaniepokoiła się jedna z kobiet w nieco przydużym, czarnym czepku na głowie.

– O niczym konkretnym, babciu. A teraz... wyjdźcie na chwilę. Chcę porozmawiać z Esti w cztery oczy.

Młodzieniec wyprostował się wymownie i ogarnął wzrokiem rodzinę. Ponury chłód, który nagle zobaczyli w jego oczach, przeraził wszystkich. Twarde spojrzenie zaskakiwało. Zawsze pogodna twarz, teraz zastępną i spochmurniała. To tak bardzo nie pasowało do Vincenta... Zaprotestowali słabo, cofając się do drzwi. Nie poznawali swego krewnego – najukochańszego prawnuka prababci. Coś było z nim nie w porządku; coś, czego nie potrafili zrozumieć; coś, czego się bali. Vincent nie przejął się niczym.

– No już, już, wynocha, sio! Sio! Pogadam z Esti i zaraz wrócicie.

Młodszy członkowie rodziny odetchnęli z ulgą, kiedy z powrotem zobaczyli w oczach kuzyna wesołe ogniki. W sercach starszych osób pozostał niepokój. Jak tylko drzwi zamknęły się za ostatnim członkiem rodziny, Vincent podszedł do okna, otworzył je szeroko i cicho powiedział:

– Wpadaj. Zapraszam cię.

Leciutki chłodny wiaterek musnął delikatną białą firaną. Młodzieniec wrócił do łóża i przysiadł na krawędzi.

– Muszę ci coś powiedzieć, najukochańsza Esti – zaczął spokojnie i znowu ujął dłoń staruszki. Pocałował z szacunkiem. – Nie jestem już tym samym Vincentem, którego znałaś od dwudziestu pięciu lat. Stałem się kimś innym. Dużo gorszym, potworem.

Pokręciła głową w proteście, ale delikatnie położył palec na jej wyschniętych ustach.

– Pozwól mi mówić, droga Esti. To będzie trudne, ale chcę, żebyś wiedziała. Zgoda?

Pokiwała głową, wpatrując się w prawnuka szeroko otwartymi oczami. Cofnął dłoń.

– Nie jestem już człowiekiem, Esti. Umarłem rok temu w Egipcie. Teraz tylko trwam, istnieję. I cieszę się z tego. Wiem, że już nie muszę bać się śmierci. Nie zastanawiam się nad tym, co mi wolno, a czego nie. Nie muszę dbać o zdrowie, bo będę je mieć na wieki. Nie umrę. Cieszę się z życia tak, jak mnie zawsze uczyłaś i za to jestem ci bardzo wdzięczny.

– Ale... o czym ty mówisz, Vincent? – zaskrzeczała cicho, nieco przerażona.

– Nie domyślasz się?

Pokręciła głową.

– Te wszystkie historyjki, które mi opowiadałaś na dobranoc, kiedy byłem mały i wskakiwałem do twojego łóżka... No wiesz, te o wampirach, wilkołakach i duchach, wszystkie te straszne bajki, które uwielbiałem, i z których potem się śmialiśmy. Pamiętasz? A potem kłóciłaś się z moją matką, bo mówiła, że masz na mnie zły wpływ i nie powinno się straszyć dzieci... Zawsze lubiłem straszne historie. Teraz sam jestem straszną historią, Esti. Jestem... – zawahał się na dłuższą chwilę – jestem wampirem.

Staruszka znieruchomiała z przerażenia. Vincent spojrzał na nią i uśmiechnął się nieznacznie. Oczy błysnęły mu lekką czerwienią.

– O matko...

– Mogę cię wyleczyć, Esti, ale znasz konsekwencje. Wiesz, czym jest wampir, istota nocy, wiesz, jak żyje, opowiadałaś mi o tym i to wszystko jest prawdą, więc wiesz... Pomyśl, Esti, jakie życie mogłabyś jeszcze mieć. Zawsze byłaś ciekawa świata. Zawsze zastanawiałaś się, co będzie za sto lat. Ciekawił cię postęp techniczny, moda, kochałaś podróże...

Rozległo się nieśmiałe pukanie. Głowa młodej kobiety wychynęła zza drzwi.

– Już? – Gruby ciemnobłond warkocz spłynął z ramion i zahustał się w powietrzu. Ciekawskie błękitne oczy zamrugały, trzepocząc rzęsami.

– Jeszcze trochę, Alice.

– A Esti?

– Wszystko w porządku, siostrzyczko. Dajcie nam jeszcze trochę czasu, dobrze?

– Dobrze. Jak coś potrzeba, to daj znać.

– Oczywiście.

Drzwi zamknęły się cicho. Vincent uśmiechnął się sympatycznie.

– Oto moja rodzina – powiedział wyniośle. – Jestem z niej bardzo dumny. Kochani, dobrzy ludzie, którzy szanują się nawzajem, obdarzają miłością i jeden za drugiego dałby się pokroić. To twoja zasługa. To ty stworzyłaś tę kochaną rodzinę. Ty! Teraz będę dbał o ich bezpieczeństwo przez kolejne stulecia. Będę pilnował ich majątku. Niestety, sam już nie mogę mieć dzieci, ale od czego są moje siostry? – Zaśmiał się lekko. – Ty, babcia i moja matka nauczyłyście mnie miłości do ludzi i zwierząt. Wiem, co to znaczy opiekować się kimś. Wiem, co to znaczy dbać o rodzinę. Znam się na prowadzeniu majątku. To zasługa mojego ojca i dziadka, niech mu ziemia lekką będzie. Cudowni faceci w babskim gronie. – Pocałował staruszkę w czoło.

Leżała, niemal nieruchomo, z niedowierzaniem wpatrując się w spokojną twarz prawnuka. Nerwowo łkała ślinę.

– Ech... kochana Esti. Nie chcę niczego ci narzucać. Sama podejmij decyzję. Jesteś najmądrzejszą osobą, jaką znam. No, jest jeszcze mama, cudowna kobieta, twoja córka a moja szalona babcia, taka sama jak ty, tata, facet, który jakimś cudem ma siłę przebicia i posłuch w tym babskim gronie, wujkowie, rany, cała nasza fantastyczna rodzina!

– Eleonora... wie? – zaskrzeczał cichy głos.

– Mama? Nie. Jeszcze nikt nie wie, ale nie zamierzam trzymać tego w tajemnicy. Chcę, żeby moja rodzina wiedziała, kim jestem. Żeby przez kolejne stulecia, kolejne pokolenia miały

świadomość, że mogą na mnie polegać, że jestem i będę ich obrońcą. I obiecuję ci, moja kochana Esti..., Nigdy, ale to NIGDY, nie przemienię nikogo z rodziny, choćby mnie błagali na kolanach. Jesteś jedyną, której zadam to najważniejsze pytanie i uszanuję odpowiedź, jaka by nie była... Czy chcesz?

Cisza, która nastąpiła po tych słowach, była przejmująca. Staruszka dusiła się lekko, wciągając ze świstem powietrze do zapadłych płuc. Skostniałe palce zacisnęła na dłoni chłopaka i przez dłuższą chwilę trzymała ją w słabnym uścisku. Potrzebowała teraz tego kontaktu. Vincent przykrył jej dłoń swoją i trwali tak jakiś czas.

– Czy to boli?

– Nie, jeśli robi to profesjonalista. Ja jeszcze nie potrafię. Jestem za młody i nie mam w tym żadnego doświadczenia.

– Więc jak...? Ja umieram... Skąd... go weźmiesz?

– Przyjechał ze mną i czeka na twoją decyzję. Pokaże się wyłącznie tobie. Jeśli go poprosisz.

– Vincent uśmiechnął się znacząco. – No wiesz. Środki bezpieczeństwa.

– O matko...

– Więc? – spytał cicho i nieśmiało.

– Jestem stara, zardzewiała, obrzydliwie poskręcana artretyzmem, zręda... – Kaszel. – Jak można to znosić... przez całe wieki...? – Charczenie. – Kto by to wytrzymał?

– Ja. No i na pewno będziesz zdrowa. Wrócą ci siły, chociaż zrządzenie ci zostanie. – Prawnuk się zaśmiał.

– Kocham moją rodzinę... – cudem stłumiła kaszel.

– Razem byśmy o nią dbali.

– Zawołaj matki i ojca... – Kaszel. – Wszystko im powiedz.

– Teraz?

– Umieram... Niech to diabli. Nie mogę w to uwierzyć... Zawołaj ich... Musimy to przedyskutować. Póki jeszcze trochę myślę.

Vincent uśmiechnął się szeroko i wyprostował, chociaż poczuł na plecach lekkie ciarki niepewności. Nieco nerwowo zerknął na wielkie, ozdobne drzwi. Za nimi z niecierpliwością klębiła się rodzina. Matki, czyli jego matka i babcia, dyskutowały cicho z ojcem, pocieszali się nawzajem i czekali.

Młody wampir poprawił surdut, sapnął dla dodania sobie odwagi i ruszył do drzwi.